

JEGO PRZESZŁOŚĆ JEST NIEZNANA

JEGO PRZYSZŁOŚĆ — NIENAPISANA

SALOMON CREED

SIMON TOYNE

1

Na początku jest droga. I ja. Idę drogą.

Nie pamiętam, kim jestem, skąd przybyłem ani jak się tu znalazłem. Jest tylko droga i pustynia rozciągająca się we wszystkich kierunkach aż po wypalone niebo i jestem ja.

Rośnie we mnie niepokój niczym bańki mydlane, nogi odliczają kolejne fragmenty drogi i pchają mnie naprzód w rozżarzonym powietrzu, jakby wiedziały coś, o czym ja nie mam pojęcia. Chętnie bym im powiedział, żeby zwolniły, lecz chociaż jestem oszołomiony, wiem, że nie rozmawia się z nogami, chyba że się zwariowało, a ja raczej nie zwariowałem. Tak sędzę.

Patrzę na lśniąca asfaltową wstęgę wznoszącą się i opadającą na pofałdowanej pustyni, rozgrzana jezdnia faluje w gorącym powietrzu, wydaje się nierealna, a droga przede mną niepewna, co jeszcze bardziej roznieca mój niepokój. Czuję, że znalazłem się tu, aby wykonać ważne zadanie, ale nie pamiętam jakie.

Staram się oddychać powoli – głęboko ukryte wspomnienie mówi mi, że to uspokaja – i w suchym pustynnym powietrzu wyławiam zapachy: smolisty aromat ułamanej gałęzi krzewu kreozotowego, słodkawy odór gnijącego owocu karnegii

olbrzymiej, spieczoną nutę pyłku agawy, a każdy z nich jest dla mnie tak oczywisty i znajomy. Z pełnego ziarna każdej nazwy kielkują kolejne informacje – terminologia łacińska, właściwości lecznicze, odżywcze lub trujące, nazwy regionalne. To samo się dzieje, kiedy spoglądam w lewo i w prawo – wszystko, co widzę, iskrzy nowymi określeniami, potokiem odkrywanych faktów, aż po chwili zaczyna mi huczeć w głowie. Wydaje się, że znam na wskroś cały świat, a nie wiem niczego o sobie. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, czemu się tu znalazłem ani nawet jak się nazywam.

Silny podmuch wiatru uderza mnie z tyłu i pcha do przodu. Przynosi też nowy zapach, który sprawia, że mój niepokój zamienia się w paniczny strach. Oleisty, gryzący dym budzi na wpół uformowane wspomnienie, a z nim pewność, że na drodze za moimi plecami czai się coś przerażającego, coś, przed czym muszę uciekać.

Zaczynam biec, wbijam wzrok przed siebie, nie mam odwagi się obejrzeć. Asfalt jest twardy i gorący, spoglądam w dół i dopiero teraz zauważam swoje bose stopy uderzające o ziemię, białą skórę lśniąca w jaskrawym słońcu. Podnoszę do oczu dłonie, jest taka sama, biała, aż muszę zmrużyć oczy przed jej blaskiem. Czuję, że moja skóra czerwienieje od palącego słońca, muszę uciec z pustyni, jak najdalej od tego żaru lejącego się z nieba i tego, co czyha za moimi plecami. Skupiam spojrzenie na wzniesieniu, coś mi mówi, że jeśli zdołam tam dotrzeć, będę bezpieczny, że dalej powiedzie już prostsza i wyraźniejsza droga.

Wieje silny wiatr, smród dymu zagłusza wszystkie inne zapachy, niczym trujący całun. Moja koszula, a nawet ciemna marynarka nasiąka potem. Powinienem je zdjąć, schłodzić się, ale gruby materiał chroni mnie przed palącym słońcem, więc tylko podnoszę kołnierz i biegnę dalej. Jeden krok, drugi, byle dalej, a między kolejnymi krokami zadaję sobie pytania: „Kim jestem? Gdzie jestem? Co tu robię?”. Powtarzam je tak długo,

aż w końcu w moim pustym umyśle wyłania się jakiś kształt. Odpowiedź. Imię i nazwisko.

– James Coronado – wyrzucam z siebie na głos i w tej samej chwili zapiera mi dech od przesywającego bólu w lewym ramieniu.

Zaskakuje mnie mój własny głos, brzmi łagodnie, obco, nieswojo, ale imię i nazwisko rozpoznaję i powtarzam kilkakrotnie: „James Coronado, James Coronado”, licząc, że należy do mnie i że w ten sposób wydobędę więcej szczegółów ze swej milczącej pamięci. Jednak im więcej razy je powtarzam, tym bardziej się ode mnie oddala, aż w końcu utwierdzam się w przekonaniu, że to nie moje nazwisko. Umyka mi, choć w jakiś sposób jestem z nim związany, jakbym złożył temu człowiekowi obietnicę, której muszę dotrzymać.

Docieram na szczyt wzniesienia i otwiera się przede mną widok na nowe rejony pustyni. W oddali dostrzegam duży billboard, a za nim leży miasteczko, rozpościera się, niczym ciemna plama, u podnóża czerwonego masywu górskiego.

Podnoszę dłoń, aby osłonić oczy i przeczytać nazwę miejscowości, lecz znak stoi za daleko i litery rozmywają się w upale. Na drodze, na skraju miasta, widać ruch.

Samochody.

Jadą w moim kierunku. Na dachach mrugają czerwono-niebieskie światła.

Zawodzenie syren miesza się z rykiem wiatru niosącego zapach dymu i czuję się złapany w potrzask między dwoma niepokojącymi dźwiękami. Skręcam w prawo, żeby zejść z drogi na pustynię. Wtedy dociera do mnie nowy zapach, dochodzący z głębi spieczonego słońcem pustkowia, który jest dla mnie bardziej znajomy niż pozostałe. To zapach śmierci i zgnilizny, czegoś ukrytego poza zasięgiem wzroku, rozgrzanego słońcem, cuchnącego i słodkiego jak karmel, jakby przecucie tego, co

mnie spotka, jeśli zboczę z drogi.

Przedemną syreny, po obu stronach śmierć, a co za mną?

Muszę się dowiedzieć.

Odwracam się, aby spojrzeć, przed czym uciekałem, i cały świat staje w ogniu.

Na środku drogi płonie roztrzaskany samolot, skrzydła sterczą niczym błoniaste ramiona wielkiego płonącego stwora. Otacza go krąg płomieni, który rozprzestrzenia się szybko z rośliny na roślinę, pełźnie w górę po wielkiej karnegii, wznoszącej ręce w geście poddania, jej mięsz syczy i pęka, zgromadzona w środku woda wrze i bucha kłębami pary.

Niezwykły widok. Wspaniały. Przerażający.

Dźwięk syren przybiera na sile, pożar ryczy ogłuszająco. Jedno ze skrzydeł zaczyna się przechylać, wlecze za sobą welon ognia i udręczony zgrzyt skręcającego się metalu. Upada na ziemię z głuchym dudnieniem, w powietrze wzbija się fala płomieni, wyciąga się jak macka i sięga w moją stronę, próbuje mnie złapać, zawrócić.

Zataczam się w tył, odwracam na pięcie i uciekam.

2

Burmistrz Ernest Cassidy podniósł wzrok znad piaszczystego grobu i popatrzył w dal nad tłumem żałobników. Drżenie ziemi było niemal tak samo wyraźne, jak grzmot przetaczający się nad pustynią. Inni również musieli je poczuć, bo kilka pochylonych w modlitwie głów obróciło się w stronę rozciągającej się w dole pustyni.

Cmentarz leżał wysoko, wtulony w zbocze gór Chinchuca, otaczających miasto na kształt podkowy. Gorący wiatr znad doliny targał czarnymi ubraniami żałobników i siekł piaskiem wygładzone deski starych grobów, upamiętniających z okrutną, milczącą powściągliwością burzliwe narodziny miasteczka:

Poganiacz. Zabity przez Apaczów. 1881

Chinka Mae Ling. Samobójstwo. 1880

Susan Goater. Zamordowana. 1884

Chłopic, 11 miesięcy. Umarł porzucony. 1882

Tego dnia dodano do listy zgonów nowe nazwisko i niemal całe miasto przyszło to zobaczyć. Pozamykali sklepy i warsztaty na całe przedpołudnie, aby wziąć udział w pogrzebie, który odbył się na tym historycznym cmentarzu po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat. Przynajmniej tyle mogli zrobić. Tylko tyle. Tego dnia zapewniono miasteczku bezpieczną przyszłość,

podobnie jak w tamtych niepewnych latach pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy pochowano tu pierwszych zamordowanych, powieszonych, oskalpowanych i potępionych.

Kiedy ucichł grzmot, zebrani powrócili do modlitwy, a burmistrz Cassidy, który tego dnia włożył swój kapelusz pastora, wrzucił do suchego grobu garść ziemi. Grudki zadudniły na prostej, staroświeckiej sosnowej skrzyni, która posłużyła za trumnę – co było nader udanym akcentem, zważywszy na okoliczności – on zaś kontynuował nabożeństwo.

– Bo prochem jesteś i w proch się obrócisz – mówił cichym, pełnym szacunku głosem, zarezerwowanym specjalnie na takie sytuacje. – Amen.

Tłum wyszeptał za nim „amen”, po czym nastąpiła minuta smaganej wiatrem ciszy. Zerknął ukradkiem na wdowę stojącą nad grobem męża niczym samobójca na skraju przepaści. Jej włosy i oczy błyszczały w słońcu, czarniejsze niż ubrania żałobników łopoczące na wietrze. Była młoda i piękna, nawet w żałobie wyglądała ładnie. Wiedział, że bardzo kochała swego męża, co dodawało sytuacji tragicznej wymowy. Lecz ponieważ była młoda, miała przed sobą dość czasu, aby iść naprzód, i to przynosiło nieco pociechy. Wyjedzie z miasta i rozpocznie gdzieś nowe życie. Na szczęście nie mieli dzieci, żadna twarz nosząca jego rysy nie będzie jej przypominać utraconej miłości. Niekiedy brak dzieci okazuje się błogosławieństwem. Niekiedy.

W tłumie zapanowało poruszenie, burmistrz podniósł wzrok i zobaczył, że komendant policji włożył właśnie kapelusz na krótko ostrzyżone szpakowate włosy i ruszył szybko w stronę wyjścia z cmentarza. Cassidy popatrzył dalej, w kierunku pustyni, i zrozumiał dlaczego.

Nad główną drogą wyjazdową z miasta wznosił się czarny słup dymu. To, co słyszeli przed chwilą, nie było grzmotem, to nie burza nadciągała, lecz znacznie poważniejsze kłopoty.

3

Komendant Morgan odjechał sprzed cmentarza, starając się nie zasypywać ludzi wsiadających za nim do samochodów chmurą piasku i kurzu.

On również słyszał huk, lecz od razu wiedział, że to nie burza. Ten odgłos przeniósł go do czasów, gdy nosił inny mundur i patrzył, jak rozbłyśki ognia artyleryjskiego rozświetlają noc nad inną pustynią, w innym kraju. Zaszło mu w ustach.

Na drodze przyspieszył i przyciskiem w kierownicy włączył radio.

– Tu Morgan. Jadę na północ drogą na Eldridge, w kierunku przypuszczalnego miejsca wybuchu, około pięciu kilometrów od miasta. Czy ktoś jeszcze coś zgłaszał?

Pick-up podskoczył i Morgan z piskiem opon wyjechał na szosę. W tej samej chwili głośnik zatrzeszczał i odezwał się dyżurny dyspozytor Rollins.

– Rozumiem, panie komendancie. Dostaliśmy zgłoszenie od Ellie na ranchu Tuckerów. Mówi, że słyszała wybuch na południowym zachodzie. Zgłasza się pięć jednostek: dwa wozy strażackie, patrol na szosie, ambulans ze szpitala i drugi w drodze z King. Razem z pańskim sześć samochodów.

Morgan zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył na drodze

migające światła. Potem popatrzył przed siebie, na słup dymu rosnący znacznie szybciej, niżby na to wskazywała prędkość jego radiowozu.

– Będziemy potrzebować więcej – powiedział.

– Co się stało, panie komendancie?

Morgan przyjrzał się rosnącej czarnej ścianie.

– Jeszcze nie dojechałem na miejsce, ale dym wznosi się szybko i wysoko, to wygląda na paliwo. Był wybuch.

– Tak, też słyszałem.

– Słyszałeś w biurze?

– Tak. Nawet poczułem.

Rollins siedział na posterunku dwa kilometry dalej. To musiała być niezła eksplozja.

– Widzisz pożar?

Wysłuchiwał się w ciszę i wyobraził sobie Rollinsa opierającego się na krześle, aby wyrzeć przez wąskie okno dyspozytorni.

– Tak, widzę.

– Wiatr niesie ogień w waszą stronę, więc lepiej bierzcie się do roboty. Zadzwoń na lotnisko, niech przyślą samoloty gaśnicze. Musimy działać szybko, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

– Już się robi, panie komendancie.

Morgan wyłączył radio i spojrział w górę przez przednią szybę. Słup dymu sięgał już na wysokość ponad stu metrów i nadal się wznosił. Za każdym razem, kiedy samochód wyjeżdżał na szczyt wzniesienia, komendant widział coś płonącego w środku pożogi. Wpatrywał się w pożar z taką uwagą, że o mały włos nie przejechał człowieka biegnącego środkiem drogi.

Zareagował odruchowo i panicznie. Skręcił gwałtownie w prawo i przygotował się na uderzenie, które na szczęście nie nastąpiło. Skontrował w lewo, tylne koła wjechały na piaszczyste pobocze i wpadły w poślizg. Z całej siły wcisnął hamulec, a

potem znowu gaz, aby odzyskać kontrolę nad pojazdem. Koła wypluwały w powietrze strumienie piachu i żwiru. Znow nacisnął hamulec i prawie położył się na kierownicy, wchodząc w poślizg, aż w końcu grzmotnął w krzak i samochód wreszcie stanął, on zaś walnął głową w szybę.

Przez chwilę siedział bez ruchu, z dłońmi na kierownicy i sercem walącym tak głośno, że niemal zagłuszało ryk pożaru i bębnienie piasku opadającego na szybę. Minął go z wyciem syreny pierwszy wóz strażacki, spod kół trysnęła w niego następna fontanna kamienistego kurzu, a w środku rozległ się trzask radia.

– Panie komendancie? Jest pan tam?

Wziął głęboki oddech i wcisnął guzik.

– Tak, Rollins, jestem tu.

– Jak to wygląda?

Drogą śmignął drugi wóz strażacki i Morgan ruszył za nim, w stronę ściany ognia i poskręcanego kadłuba płonącego samolotu.

– Jak koniec świata – mruknął.

Obejrzał się na drogę i ze zdziwieniem zobaczył mężczyznę, którego omal nie przejechał: podnosił się właśnie z ziemi, gdzie rzucił się, aby uniknąć zderzenia. Wyglądał wyjątkowo osobliwie – miał całkiem białe włosy i tak samo białą, niemal przezroczystą skórę.

Morgan nasłuchiwał się w życiu dość opowieści o duchach nawiedzających drogę, którą zbudowano na starym szlaku wozów osadniczych. Ludzie widywali tu najróżniejsze rzeczy, zwłaszcza nocą, kiedy zimno ścisnęło ziemię jak imadło i wydobywało z niej smugi oparów, snujące się w świetle reflektorów i w wyobraźni ludzi, którzy słyszeli te same historie co on. Przychodzili do niego i opowiadali o duchach koni, o wozach unoszących się nad ziemią, lecz aż do tej pory Morgan

sam nie widział czegoś takiego na własne oczy.

– Panie komendancie, jest pan tam?

Ocknął się z zamyślenia, nie odrywając oczu od nieznanego.

– Tak, jestem. Co z tymi samolotami?

– Jeden już wystartował z naszego lotniska, możliwe, że dwa następne przyślą z Tucson. Trochę się ociągają, ale pracuję nad tym. Jeśli dostaną zgodę, będą tu za dwadzieścia minut.

Morgan skinął głową, ale nie odpowiedział. Za dwadzieścia minut pożar rozprzestrzeni się dwukrotnie, a może nawet trzykrotnie. Dobiegł go zbliżający się ryk kolejnych syren, za chwilę na miejsce przyjedzie już wszystko, czym dysponowało miasto. Ale to nie wystarczy.

– Wezwij, co się da – powiedział. – Musimy ustawić blokady na wszystkich drogach wokół miasta, nie chcę, żeby ktoś się kręcił po tym pobojuwisku. Trzeba też wykopać pas zaporowy, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się ognia. Jeśli ludzie chcą, żeby ich domy stały jeszcze po zachodzie słońca, to niech każdy, kto ma łopatę i samochód nadający się do wywożenia ziemi, stawi się przy tablicy pod miastem.

Rozłączył się i sięgnął do kieszeni po telefon. Znalazł odpowiedni kontakt i otworzył okno wiadomości. Palce mu drżały, kiedy pisał: „Uciekaj. Pogrzeb się skończył wcześniej. Znalazłeś coś?”.

Wysłał wiadomość i podniósł wzrok na nieznanego. Mężczyzna patrzył na pożar z dziwnym wyrazem twarzy. Morgan uniósł telefon, zrobił zdjęcie, po czym obejrzał to, co wyświetliło się na ekranie. Zdawało się, jakby niezajomy dosłownie świecił w kłębowisku czarnego dymu i kurzu. Przypomniały mu się zdjęcia, które oglądał w książkach i na stronach internetowych poświęconych duchom pojawiającym się w okolicach miasta. Tylko że tamte fotografie sprawiały wrażenie mistyfikacji, podczas gdy w tym, co widział przed sobą, nie było żadnego oszustwa.

Na drodze stał człowiek z krwi i kości i oczami barwy kamienia wpatrywał się w płonący samolot.

Zabrzączał telefon w dłoni Morgana. Odpowiedź: „Nic. Właśnie się wynoszę”.

Niech to szlag. Wszystko dzisiaj idzie na opak. Wszystko.

Chwytał kapelusz, po czym wysiadł z samochodu na gorące pustyne powietrze, rozgrzane jeszcze bardziej przez huczący pożar. W tej samej chwili błądy mężczyzna odwrócił się i ruszył przed siebie biegiem.

4

Patrzę w serce szalejącej pożogi i mam uczucie, jakby ona odpowiadała mi takim samym uważnym spojrzeniem. Ale to niemożliwe, wiem o tym. Powietrze wokół mnie wiruje, ryczy i lamentuje, jakby cały świat skręcał się z bólu.

Pierwszy wóz zatrzymuje się na skraju pożaru, ze środka wybiegają ludzie i wyciągają z jego brzucha węże niczym wnętrzości zwierzęcia składanego w ofierze płonącemu bogu. Wydają się tacy maleńcy, a ogień taki potężny. Wiatr targa płomieniami, czerwone języki pełzną z rykiem w kierunku ludzi, w moim kierunku. Ogarnia mnie przerażenie, odwracam się, aby uciec, i omal nie wpadam na kobietę w granatowym mundurze, która szła drogą za moimi plecami.

– Nic panu nie jest? – pyta i patrzy na mnie z łagodną, ciepłą troską.

Mam ochotę ją objąć, pragnę, aby ona też mnie przytuliła, lecz strach przed ogniem jest zbyt silny. Omijam ją i biegnę dalej, prosto na mężczyznę w takim samym mundurze. Chwyta mnie za ramię, próbuję się wyrwać, ale nie daję rady, za mocno mnie trzyma. Dziwię się, zupełnie jakbym nie przywykł do tego, że jestem słaby.

– Muszę się stąd wydostać – mówię tym swoim łagodnym, obcym głosem i zerkam przez ramię na płomienie, które wiatr naganania coraz bliżej.

– Nic już panu nie grozi – odpowiada rzeczowo i spokojnie, co jednak budzi we mnie jeszcze większy niepokój.

Skąd on może wiedzieć, czy coś mi grozi, czy nie?

Znów się oglądam, a potem patrzę w drugą stronę, w kierunku dużej tablicy powitalnej na skraju miasta, ale teraz z kolei karetka zasłania mi widok i nazwę. Zaczynam się niepokoić jeszcze bardziej.

– Muszę uciekać – tłumaczę, próbując wyrwać ramię. Chcę, żeby zrozumiał. – Wydaje mi się, że ten pożar wybuchł przeze mnie.

Kiwa głową, jakby rozumiał, ale widzę, że wyciąga drugą rękę, aby mnie przytrzymać, więc chwytam go za ramię i pociągam energicznie do przodu, a jednocześnie podcinam mu nogi. Upada na ziemię, a ja się uwalniam. Wszystkie ruchy są dla mnie tak naturalne jak oddychanie i tak płynne jak kroki tańca. Najwyraźniej moje ciało nie straciło pamięci. Patrzę w dół na jego zaskoczoną twarz.

– Przepraszam, Lawrence – mówię, przeczytawszy jego imię na plakietce służbowej.

Potem odwracam się i rzucam do ucieczki, byle jak najdalej od pożaru. Udaje mi się zrobić jeden krok, po czym policjant chwyta mnie za nogę, a jego silne palce zaciskają się na mojej kostce jak kajdany.

Tracę równowagę, ale tylko na chwilę, odwracam się i podnoszę stopę. Nie chcę go kopnąć, ale zrobię to, jeśli nie będę miał wyjścia. Wszystko, byle się uwolnić. Na myśl o moim twardym obcasie rozkwaszającym mu nos, rozcinającym skórę do krwi, przez moje ciało przepływa ciepłe powietrze. To przyjemne uczucie zatrważa mnie tak samo jak wcześniej

znajomy zapach śmierci. Próbuję się skupić na czymś innym, stłumić instynkt i powstrzymać stopę, a w tym samym momencie wpada na mnie coś dużego i twardego, co wyrывa moją nogę z jego uścisku.

Przewracam się, a kiedy uderzam głową o asfalt, w mojej czaszce eksploduje biały płomień. Ogarnia mnie furia. Walczę zaciekle, żeby się uwolnić od tego, co mnie zaatakowało. Na policzku czuję gorący oddech, kwaśny zapach kawy i psujących się zębów. Odwracam głowę i widzę twarz policjanta, który mnie powalił.

– Proszę się uspokoić – mówi, przygniatając mnie swoim ciężarem do ziemi. – Oni chcą panu pomóc.

Nieprawda. Gdyby chcieli mi pomóc, pozwoliliby mi uciec.

W jakiejś części mojego umysłu rodzi się myśl, że mógłbym go ugryźć w policzek albo w nos, zaatakować tak wściekle, że zrobiłby wszystko, aby się ode mnie uwolnić. Jestem tym spostrzeżeniem jednocześnie zafascynowany, oszołomiony i podniecony: mógłbym się bez trudu uwolnić, lecz coś mnie w środku powstrzymuje.

Chwyta mnie coraz więcej rąk i przyciska mocno do ziemi. Czuję w ramieniu ukłucie, jakby mnie użądlił ogromny owad. Obok przykuca kobieta z pogotowia, patrzy w skupieniu na strzykawkę sterującą z mojego ramienia.

– To nie jest uczciwa walka – próbuję powiedzieć, ale zanim ostatnie słowo uchodzi z moich ust, język mi się już płacze.

Świat zamienia się w gęstą ciecz, moje ciało wiotczeje. Czyjaś dłoń podtrzymuje mi głowę i układa ją powoli na ziemi. Staram się walczyć, nie zamykać oczu. W oddali widzę miasteczko oprawione w ramkę drogi i nieba. Chcę im powiedzieć, żeby się spieszyli, że nadciąga ogień, że muszą stąd uciekać, lecz nie mogę poruszyć ustami. Obraz przed oczami zamienia się w tunel, z czarną obwódką i kurczącą się jasną plamką w samym

środku, jakbym wpadł do głębokiej studni. Za ambulansem dostrzegam tablicę z nazwą miejscowości, a kiedy wiatr na moment rozwiewa kłęby dymu, mogę nawet odczytać słowa. Jest to ostatnia rzecz, jaka pozostaje mi przed oczami, zanim świat zapada się w ciemność.

**WITAMY
W ODKUPIENIU**

5

Mulcahy oparł się o jeepa i patrzył na zjeżone linie skrzydeł za siatką ogrodzenia. Z miejsca, gdzie stał, widać było bombowiec B-52 z wojny w Wietnamie, oklejony chyba trzydziestoma symbolami misji, dalej inny bombowiec, z drugiej wojny światowej, ciężki transportowiec przypominający wieloryba oraz eskadrę groźnych ostronosych myśliwców z wymalowanymi barwami różnych krajów, w tym radziecki MiG z czerwoną gwiazdą na boku i dwoma mniejszymi pod szybami kokpitu, oznaczającymi liczbę przeciwników zestrzelonych w walce.

Za tą ekspozycją samolotów wojskowych biegła w głąb pustyni strzała pasa startowego, a nad nią wił się wąż rozgrzanego powietrza. Na północy nad jakąś padliną krążyły myszołowy, poza nimi nie było nawet najmniejszego obłoczka, chociaż jakiś czas temu słyszał grzmot. Przydałoby się trochę deszczu, Bóg świadkiem, że go potrzebowali.

Spojrzał na zegarek.

Późno.

Łaskotała go i szczypała spocona skóra na plecach i głowie, uwięziony pod koszulą południowy upał dawał się we znaki. Srebrny grand cherokee, o który się opierał, miał przyciemniane szyby, chłodne skórzane siedzenia, a klimatyzacja utrzymywała

w kabinie idealne osiemnaście stopni Celsjusza. Słyszał jej cichy szum współgrający z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Mimo to wolał stać na pustynnym skwarze, niż siedzieć w samochodzie z dwoma idiotami, których musiał niańczyć i wysłuchiwać ich głupiej gadaniny.

– Jak myślisz, stary, ilu faszystów rozwalił ten ptaszek?

– A ile dobrych dzieciaków wysadził w powietrze tamten?

Z jakiegoś powodu uznali ponad wszelką wątpliwość, że Mulcahy jest byłym wojskowym, co w ich przeżartych narkotykami ptasich mózdkach czyniło go ekspertem od każdej wojny, jaką toczono na świecie, tudzież broni, jakiej w nich używano. Powtarzał im już kilka razy, że nie miał nic wspólnego z żadnym rodzajem sił zbrojnych, a w związku z tym wie o samolotach wojskowych tyle samo co oni, lecz to ich nie zniechęciło do zadawania niekończących się pytań i szacowania w wyobraźni prawdopodobnych ofiar.

Ponownie spojrzął na zegarek.

Kiedy dostarczą przesyłkę w umówione miejsce, będzie mógł stąd odjechać, wziąć długi zimny prysznic i zmyć z siebie brud całego dnia. Obok niego zabuczało otwierane okno, z samochodu powiało schłodzone powietrze.

– Gdzie ten samolot, stary?

To był Javier, niższy i mniej irytujący z jego towarzyszy, daleki krewny Papy Tío, wielkiego szefa działającego po stronie meksykańskiej.

– Nie ma go – odparł Mulcahy.

– Bez jaj, powiedz mi coś, o czym nie wiem.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Co?

Mulcahy odszedł kilka kroków i przeciągnął się, aż poczuł w plecach strzykające kręgi.

– Nie martw się – powiedział. – Gdyby coś było nie tak,

dostałbym wiadomość.

Javier namyślał się przez chwilę, po czym skinął głową. Przejął nieco pewności siebie od rodziny szefa, ale mocno zbywało mu na rozumie, przynajmniej zdaniem Mulcahy'ego. Odziedziczył też, niestety, rodzinną aparycję, więc łącząc przysadzistą posturę, dziobatą cerę oraz mięsiste, wiecznicie wydęte wargi, bardziej przypominał ropuchę w dżinsach i podkoszulku niż mężczyznę.

– Człowieku, zamknij to okno, tam na zewnątrz jest jakiś pieprzony piekarnik. – To był Carlos, dureń numer dwa, niespokrewniony z Papą Tío, ale najwyraźniej zajmujący na tyle dobrą pozycję w kartelu, że pozwolono mu z nimi jechać.

– Rozmawiam – warknął Javier. – Zamknę okno, jak skończę i będę miał ochotę.

Mulcahy odwrócił się do nich plecami i podniósł wzrok na puste niebo.

– Jakiego samolotu szukamy? Takiego z wielką dupą jak te bombowce atomowe? Stary, ale to by była jazda.

W pierwszej chwili Mulcahy zamierzał nie odpowiadać, lecz to akurat wiedział, ponieważ tę informację podano im przed odjazdem. Poza tym im dłużej rozmawiał z Javierem, tym dłużej z samochodu przez otwarte okno wydostawało się chłodne powietrze.

– To ma być beechcraft – odrzekł.

– Co to takiego?

– Myślę, że stary samolot osobowy.

– Znaczący co, prywatny odrzutowiec?

– Raczej awionetka.

Javier ściągnął usta wielkości rękawicy bokserskiej i skinął głową.

– I tak brzmi nieźle. Kiedy ja uciekałem przez granicę, to w środku nocy musiałem się przeprawiać przez rzekę jakąś nędzną

szalupą.

– Mimo to dotarłeś gdzie trzeba, prawda?

– Chyba tak.

– To najważniejsze. – Mulcahy podniósł głowę. Na niebie, nad jedną z większych hałd wznoszących się po drugiej stronie lotniska, wykwitła ciemna smuga. – Nieważne, jak się tu dostałeś, ważne, że jesteś.

Smuga pociemniała i po chwili zamieniła się w słup czarnego dymu. Usłyszał daleki odgłos syren. Wtedy w jego kieszeni zabrzączał telefon.